

Skup butelek

(fragmenty powieści)

Artur Klinau

50

W architekturze „płoscza” to plac, niezabudowana przestrzeń miejska otoczona budynkami i zielenią. Nasz plac to również akt zadośćuczynienia za grzechy, ofiara, po której następuje katharsis. Nasz plac nie jest związany z konkretnym miejscem. Może się zdarzyć na Oktiabrskiej, na Lenina albo na Kołasa, choć już raczej nie na Bangalore – skwerze, na którym odsikują się psy, gdzie zwykle usiłuje osadzić go Kancelaria. Może też na Niemidze, w Kuropatach albo na dworcu przy placu Bramy. Nie ma zresztą znaczenia miejsce złożenia ofiary ani jej liczebność: pięciu, dziesięciu, stu ludzi czy setki tysięcy. Ważny jest sam akt.

Czasy, kiedy plac cokolwiek rozwiązywał, minęły w latach dziewięćdziesiątych; czasy, kiedy cokolwiek rozwiąże, jeszcze nie nadeszły. Tymczasem pełni funkcję pogańskiego rytuału, który trzeba odprawiać na dowód, że podziemie wciąż jeszcze istnieje. Kalendarz placu jest powszechnie znany: Dzień Niepodległości, rocznica Czarnobyła, czasem coś tam jeszcze. Nikt nie wie dokładnie, kogo będą krzyżować. Nikt nie namaszcza baranka ofiarnego. Mogą rzucić na ołtarz szamana z władz którejś partii, a mogą i przechodnia, który przypadkiem nawinął się na przystanku. Przechodzień wyje: „Zostawcie mnie, czekam na busik na Urucyje!”. Ale zarobi parę razy w ryja i na Urucyje nie dotrze.

Po placu zwykle snują się wszechobecni Hugoni, wtopieni i whartowani między ludzi. Czasem będzie ich ćwierć, a razem z reporterami i panami Albertami z ambasad nawet i połowa wszystkich uczestników. Dobrze znają partyjnych szamanów Skomorochów i mało się nimi przejmują, więcej dymu niż ognia. Szukają nowych twarzy. Namierzają, czekają, aż tajny radca Kancelarii, pan Twardowski, da znak, i ciągną nieszczęśnika do tępopyskiego MAZ-a z okratowaną budą.

Biją boleśnie, ale nie na śmierć. W tej grze obowiązuje moratorium na śmierć. Zasady są wszystkim znane – w cenniku brak pozycji: naniesienie barankowi uszczerbku na życiu. Uszczerbku na życiu wszyscy boją się jak ognia, ale najbardziej tamci z Kancelarii. Przeważnie ofiara dostaje piętnaście dób celi z menelami. Skomorochy więcej: dwa, trzy, cztery latka.

Ale raz na pięć lat zbiera się plac szczególnie – wielki wiec pięcioletni. Na zwykły plac przychodzą przeważnie tylko ci z podziemia. Na wiec ściągają jak na pogańskie święto całą rodziną: z żonami, z dziećmi na barana, z przyjaciółmi i z kolegami z pracy. Wielu pięć lat milczało i teraz chce zadośćuczynić. Robią przygotowania. Miesiąc przed placem ze sklepów znikają spiwory i namioty. W necie ciągle apele i info, jak się ubrać, co zabrać, kto będzie śpiewał, czego lepiej nie pić, gdzie mogą przenocować przyjezdni z prowincji, co robić w razie oblawy. Ci z Kancelarii też nie tracą czasu. Ściągają do miasta wojsko, rozpuszczają plotki o zamachach, radzą przeczekać plac w domu.

Kiedyś chodziłem na każdy plac, później zrobiłem się wybredny, aż w końcu wszystkie mnie znudziły. Wiece pięcioletniego nie przegapiłem nigdy. Ale w tym roku pierwszy raz nie chciało mi się iść. Doskonale pamiętałem poprzedni, znałem ludzi, którzy go przygotowali, wiedziałem, kto za nim stoi i kogo warto poprzeć. A ten był jakiś niejasny. Czuję, że kryje się za nim gra, której reguł nie łapię i w której dostałem rolę mięsa armatniego.

Bliżej wieczora, po esemesie od Maszy humor mi się poprawił. W dodatku Wiera prosiła, żeby ją podrzucić. Umówiła się z kolegami z klasy gdzieś koło Oktiabrowskiej. Wiera w odróżnieniu ode mnie nie darowała sobie ani jednego placu, tym bardziej takiego.

Pokręciłem się trochę po kwartałach przy centrum, próbując wybadać nastrój Kancelarii. Zwykle jeżeli mieli w planach jakąś większą zadymę, parkowali samochody z kosmonautami nie tylko na podwórkach, ale też demonstracyjnie na ulicach. Tym razem wszystko wyglądało spokojnie. Pewnie gdzieś byli, ale na razie chowali się po ciemnych bramach. Ludzie ściągali ze wszystkich końców miasta. Zaparkowałem za GUM-em, pod mieszkaniem Stiopy, i wszedłem do Cafe Centralna. Do ósmej daleko, miałem czas na filiżankę kawy i obserwacje.

Zwykle rytuał zaczynało właśnie tak. Ludzie krążyli gdzieś po okolicy, ale nie spieszyli się z wychodzeniem na plac. Ktoś udawał, że czeka na busik, ktoś wpadał do Uniwersamu na kawę, jeszcze inni spacerowali sobie po ulicy. Oczywiście byli też młodzi aktywiści, leżący prosto na plac. Ale jeśli rytuał miał być serio, właśnie oni obrywali pierwsi. Po trzecim mordobiciu wielu dawało sobie spokój. Awansowali do władz swojej partii albo robili się ciut ostrożniejsi.

+

Teraz jednak zza szyby Uniwersamu wszystko wyglądało spokojnie. Ludzie ścigali na plac pod czujnym okiem Hugonów po cywilnemu, kosmonauci nadal czaili się gdzieś w cieniu. Wzdłuż ulicy stali co trzy metry milicjanci z drogówki: pewnie obejdzie się bez zadymy. Już wcześniej było wiadomo, że nikt nie planuje większych ofiar. Europa zamierzała uznać te wybory, więc przepychanki zniszczyłyby całą tak długo planowaną operację. Wyszłaby nawet nie łyżka dziegciu w beczce słodkiego miodu Kancelarii, ale solidne wiadro najprzedniejszego gówna.

Dopiłem kawę i wyszedłem na plac. Ludzie stali spokojnie. Nastrój zdawał się inny niż ten sprzed pięciu lat. Wtedy było strasznie. Teraz raczej świątecznie. Z głośników rozstawionych po skraju placu leciała wesoła muzyka – prezent od Kancelarii. Przy akompaniamencie *Jasia*, dość dwuznacznie *koszącego koniczynę*, cała impreza przypominała spóźnione zimowe dożynki – wielkie imperialne święto urodzaju. Gdyby tak poustawiać kramy z gorącą wyżerką i tanią wódką i wpuścić na schody Pałacu Republiki zespół Choroszki, karnawał w kolchozie jak ta lala. Przy dźwiękach wesołej muzyki ludzie rozsiądą się grupkami wprost na zaspach, wyciągną przyniesione ze sobą butle piwa i, radośnie rechocąc, zaczną grillować na mrozie kielbaski.

Tyle że Piesniarzy śpiewali nie dla demonstrantów, ale dla łyżwiarzy na sielankowym lodowisku pod dwudziestometrową, przybraną świątecznymi girlandami choinką. Co roku w przeddzień katolickiego Bożego Narodzenia na placu wylewano lodowisko, ale znacznie mniejsze. Tym razem zamrożono niemal cały plac. Demonstranci musieli cisnąć się po brzegach, na chodnikach przy Oktiabrskiej.

Na gigantycznym lodowisku brykali wesolutki Hugoni z Hugoneczkami. Komu jeszcze przyszłoby do łba zabawiać się w takim dniu na placu, gdzie można lada chwila zarobić w pysk i co – spieprzać na łyżwach do bramy? Z rozmachem *kosili koniczynę*, a od czasu do czasu potykali się i z wdziękiem, jak łabędź po jeziorze, płynęli mordą po lodzie. Otóż właśnie – nocne jezioro łabędzie w wykonaniu Hugonów. Taniec szarych łabądków pod noworoczną choinką.

A głupia Europa nazywa to dyktaturą. To tylko gra w dyktaturę, dyktatura epoki postmodernizmu, ironiczna, raz wesoła, raz smutna, z mnóstwem cytatów i pomieszaniem stylów. Mogła cytować Hitlera, ale nie serio. Mogła bawić się w Związek Radziecki, ale tylko w telewizji na telekonferencji, bo w realu marksizm był dawno kaput i zresztą za taki kapitał nie szło dłużej żyć. Mogła nawet cytować Tian'anmen, ale też bez krwi. W końcu krew to już nie zabawa. Tylko raz jeden pod koniec lat dziewięćdziesiątych raptem wypadła z roli i zaraz sama śmiertelnie się przeraziła. A przecież wszystko

to tylko śmieszna gra, w której tak naprawdę nikt niczego nie zabrania. Chcesz wyjść na plac? Śmiało, zakładaj łyżwy i jazda! Chcesz teledybat – proszę, pogadaj choćby na żywo pośród krzywych luster, żeby ludzie dokładnie ci się przyjrzeni. Chcesz poszczekać – są gazetki, „Ziemia i Wola” i „Nasze Getto”. Chcesz wydawać nieprawomyślne pismo – no problem, tyle że nikt nie wykupi reklamy, a dystrybucją zajmiesz się osobiście, spod płaszcza po bramach. A jeśli trafisz na gliny, zwyczajnie masz pecha: złamałeś przepisy handlu detalicznego.

Początkowo wielu nie załapało, że to gra. I trzeba było ich utemperować. Z czasem połapali się jakoś, podzielili rolami, określili pojęcia i granice, których lepiej nie przekraczać. Biznes załapał pierwszy, jak i z kim warto pogrywać. Później rybacy Rodioni i proletariusze Karpy, mało zorientowani w postmodernizmie, beztrudnie podpisali kontrakt i nawet kryminalny półświatek uznał nowe reguły, choć przyszło mu wyleźć spod celi w dobrych knajpach i przenieść się pod budę z piwem, bliżej kibla. Najdłużej się rzucali i ku powszechnej radości okładali pięściami partyjni. Krzyczeli „Władza jest głupia!” i rozbijali sobie nosy do krwi, z każdym ciosem marniejąc i cherlając. Frontowi ewoluowali we frontochrześcijańskich, frontoobywatelskich, zachodniofrontowych i młodofrontowych. Związkowcy w metalurgów, tekstylnych i traktorzystów. Mohylewscy w kliczewskich, bobrujskich i szklowskich. A kiedy całkiem scherleli, głupia władza osadziła ich w rolach bez żadnych kontraktów. Najgorzej zaś mieli ci, którzy nie załapali się na żadną rolę i nadal wrzeszczeli: głupia władza! Zwykle ładowali w kiciu. Też postmodernistycznym, śmiesznym i właściwie obraźliwym – piętnaście dni z melnelami. Zawodowych skomorochów sadzano na dłużej, ale niezbyt często i tylko jeśli złamali zasady gry.

Połąziłem naokoło choinki, doceniłem ironię spektaklu i zacząłem szukać znajomych: konspiratorów ze starej gwardii przyszło, o dziwo, niewielu. Przeważnie nowe twarze; inna sprawa, że wokół lodowiska zebrało się już dobre dziesięć tysięcy ludzi. Znaleźć w ciemności znajomych, wmieszanych w taki tłum, nie było tak łatwo. Nie widziałem też Wiery, która przecież kręciła się tu gdzieś z kolegami.

Dochodziła ósma, a głównych partyjnych szamanów wciąż nie było. Pewnie nie planowano dziś większej ofiary, dlatego się nie spieszyli. Od czasu do czasu spoglądałem na telefon, czekając na znak od Maszy. Wkrótce poczułem, że marznę. Mróz był niewielki, ale wiał przejmujący, mokry wiatr. Nie zajrzałem przed wyjściem do netu i przyszedłem w szpanerskim włoskim płaszczu, cienkich spodniach i oczywiście zamiast w walonkach – w szpanerskich włoskich butach. Nie było na co czekać, pobawią się i rozejdą. Wróciłem do samochodu i pojechałem do domu.

Już wyjeżdżając z bramy przy GUM-ie, zauważyłem dużą kolumnę, maszerującą od dworca w stronę placu. Skręciłem w Komsomolską i wtedy wreszcie zadzwonił telefon. +

52

Spośród wszystkich cytatów demokracji ten zdawał się jednym z mocniejszych. Drugą godzinę w pierwszym programie państwowej telewizji leciała na żywo debata z udziałem ludzi nie tylko z Kancelarii, ale i z podziemia. Przewodniczącą CKW, obserwatorów, dziennikarzy i naczelnego „Ziemi i Woli” usadzono jak do herbaty za wielkim, na metr wysokim, ozdobionym lukrowymi różyczkami tortem weselnym. Każdy po kolei dostawał kawałek do spróbowania, młaskał, oblizywał się i grzecznie chwalił talent cukiernika.

Opozycja wprawdzie narzekała, że za słodkie, za mało jaj i wanilii, ale ogólnie wyglądała na zadowoloną i ani myślała cisnąć tortem w pysk reszcie. Gapiąc się na tę miłą herbatkę przy mikrofonie, w pewnej chwili sam poczułem w ustach dziwną słodycz. Masza z Wierą były na placu, ale tam panował spokój. Koło dziesiątej zadzwoniłem do Maszy. Powiedziała, że wszyscy są już pod Kancelarią Rządu i jest bardzo fajnie, tylko zimno jak diabli. Zdażyła zresztą skoczyć do domu, na szczęście nie miała daleko, wypić herbatę i trochę się ogrzać.

Show na żywo miał się ciągnąć jeszcze kilka godzin, póki nie policzą wszystkich głosów. Ale przed jedenastą nagle na twarzy prowadzącego zauważyłem niepokój, jakby znalazł w swoim kawałku tortu zdechłą muchę. Przyciskał słuchawkę do ucha i słuchał komunikatów; słodycz spływała mu z twarzy i wiedziałem już: stało się coś niedobrego.

Chwilę później nerwowo poinformował, że mamy wideo z placu. Na ekranie natychmiast pojawili się jacyś ludzie, którzy naparzali pałkami w drzwi Szarego Domu. W oszołomieniu, nie wierząc własnym oczom, gapiłem się na tę kotłownicę. „Szturmują budynek rządu” – pisał prowadzący, nie mniej zszokowany sceną.

Chwyciłem telefon i wstukałem numer Maszy. Abonent niedostępny. Telefon Wierę też milczał. Zrozumiałem, że stało się najgorsze. Dopadłem komputera, spróbowałem wejść na stronę Ruszenia, ale nie chciała się załadować. „Nasze Getto” pisało, że nieznani sprawcy sforsowali drzwi budynku rządu, „Wolność” – że zaczyna się pogrom, a telefony milczały. Jasne, wyłączyli.

Zadzwoniłem do Maszy na domowy. Jakaś kobieta, pewnie matka, drżącym głosem powiedziała, że jeszcze nie ma jej w domu. Poprosiłem, żeby Masza zadzwoniła, kiedy tylko wróci, złapałem płaszcz i wybiegłem z mieszkania.

78

Jestem Imperatorem! Jadę z zadupia do centrum przez puste, szare miasto. Dlaczego oni nie wierzą, że jestem Imperatorem? Dlaczego za każdym ra-

zem muszę wkładać koronę? Kiedy włożyłem po raz pierwszy, kochali mnie, a teraz nienawidzą. Dlaczego mnie nienawidzą? Przecież obiecałem im chleb!? I dawałem. Przecież obiecałem porządek!? I dotrzymywałem słowa. Przecież to puste, szare miasto, przez które jadę z zadupia do centrum, jest najczystszy z miast. Ale dlaczego najczystsza z czystych żółta ulica jest dzisiaj taka pusta? Żółte twarze wzdłuż krawężników mają mnie chronić; dlaczego im nie wierzę? Może dlatego, że są żółte, a ja nie lubię żółtego. Przecież lubię biały. Lubię biały, ale wymietli nawet śnieg z ulic, którymi jadę. Ulice zrobiły się żółte, jak zalane słońcem. Ale przecież w tym mieście nie ma słońca. Dziś nie ma słońca. Niebo jest szare i puste jak to miasto.

Posypali drogę przede mną żółtym piaskiem. Posypali żółtą drogę piaskiem i pomalowali domy na żółto. Swoimi żółtymi spojrzzeniami pomalowali na żółto niebo. Nawet niebo pomalowali na żółto. Nabudowali żółtych schodów. Powstawiali żółte drzwi, okna, kominy i witryny. Wszystkie dziwki w tym mieście mają żółte włosy. Nawet nierząd jest w tym mieście żółty. I drzewo pod moim oknem liść po liściu żółkło. Nawet zimą patrzy na mnie żółtymi oczami. Sądzą, że imperialne miasto powinno być żółte. I nawet morze, w którym toniemy, jest żółte. Wiem, że kiedy miasto śpi, malują je na żółto. Wiem, że w nocy, kiedy nikt nie widzi, przez wielkie pożółkłe od rdzy rury spuszczaają do morza żółtą farbę.

Jestem Imperatorem, lubię zielony i biały. Zielony i biały. Zielony zawsze pachnie dzieciństwem, igliwem, deszczem i latem. A biały listopadowym śniegiem, piecem i noworoczną choinką. Żółty pachnie strachem. Pachnie strachem i grozi, że zielony wkrótce zmieni się w biały, a czerwony w zielony. Dlaczego malują moje miasto na kolor strachu? Malują miasto strachem i budują złotą drogę. Dlaczego chcą przemalować na żółto nawet moją duszę? Nie jest żółta, jest bura jak futro niedźwiedzia. Dlaczego ciągle się boją i patrzą na mnie żółtymi ze strachu oczami?

Bo jestem Imperatorem! Bo w moim żółtym mieście nigdy nie świeci słońce. Bo czarni jeźdźcy przed moją limuzyną noszą pod twarzami złote maski. Bo w imperialnym pałacu w wielkiej złotej sali czekają na mnie złoci ludzie, złota korona i tron pod złotą koroną. Pod złotą koroną cierniową koroną Imperatora. Czasami zdaje mi się, że to tylko sen. Żółty sen, z którego boję się obudzić. O szóstej rano przy pierwszych taktach hymnu z głośnika na ścianie poczuć za ciemnym oknem zapach białego śniegu i zielonego igliwia. Obudzić się i zobaczyć w kącie wystygły piec, puste fajerki i wierne oczy psa. Boję się przebudzenia, bo przecież póki śpię, jestem Imperatorem! ●